21. Listopada. **Nr. 46.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera**.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

XIV.

Wybiła jedenasta. Szeremet powrócił do domu. Gość jego ze wsi, Iwaś, zasnął snem sprawiedliwych, Cezar siedział przy okrawku niedopalonej świecy i czytał.

— Nic mi nie pozostaje — ozwał się Szeremet wchodząc — jak szukać nowej protekcji. Dobra protekcja ma zaraz tysiąc miejsc do rozdania, podczas gdy najpilniejsze staranie nic nie wskóra.

— Gdzież jej pan szukać zaczniesz? — zapytał Cezar.

— Trzeba będzie podobno przeprosić się z panem Politatowskim i jutro przedstawić mu się.

— Były tu siostry — zaczął Cezar, a Melanja ma do pana interes...

— I panna Stanisława była tutaj, u nas? — wyrzekł Szeremet jakby nie dowierzał. — Czy pojmujesz, jak mógłbym być szczęśliwym, gdyby jakakolwiek niezależność, jakakolwiek! — powtórzył kilka razy monotonnie, i usiadł przy stole koło Cezara podpierając na ręku głowę. Zamyślony i smutny milczał długo, nareszcie nie spojrzawszy na Cezara, zaczął na poły do siebie zwracając mowę:

— Jakakolwiek niezależność! Hm, byłaby, gdyby inni ludzie, albo i ci sami ludzie, a inne formy. Włościanin, rzemieślnik, prosty wyrobnik jest o tyle przynajmniej szczęśliwy, że jest w swojej sferze. Tylko my, my ludzie pracy ducha, musimy szukać innej sfery. Nazywamy się stanem średnim, ale to fałsz. Bo ten średni stan nie może często zarobić na kawałek chleba, i tego nie możemy co najuboższy, jesteśmy w nędzy! i nazywamy się stanem średnim. I musiemy szukać innej sfery, naśladować na zewnątrz formy stanów zamożnych, opłacać komuś za usługi nie mając często grosza przy sobie, ubierać się przyzwoicie czyli drogo, i po co? Ażeby później być na podobieństwo owej rogoży w przedsionkach, na której wycieramy nogi i po której depczą! Cezarze! czy bardzo ukochałeś to życie?

— Od jakiegoś czasu, bardzo!...

— A! pojmuję cię, kochasz jak i ja...

— Kocham, i mam nadzieję.

— Tak, tak, w samej rzeczy — wyrzekł Szeremet. — Ty musisz mieć więcej nadziei, bo do spełnienia czego, jeszcze nie tak prędko przystąpisz.

— Doprawdy, pan mię nie zachęcasz do trudów — wyrzekł Cezar.

— Mówię jak jest, nie jakby mogło być. A że mogłoby być inaczej, najlepszym dowodem my, którzy żyjemy pomimo tyle zachęty ze strony ludzi do wyniesienia się z tego świata.

Cezar uśmiechnął się; Szeremet odezwał się jeszcze kilka razy, ale już nie narzekając, z goryczą tylko i przekąsem o własnem i o położeniu społeczeństwa.

Nie długo i Cezar poszedł za przykładem śpiącego w kącie Iwasia. Z czuwających pozostał Szeremet sam. Myślał, nakoniec usiadł i zaczął pisać list, odczytał go i namyśliwszy się inaczej podarł i spalił kawałki. Położył się bardzo późno, i zasnął twardo. Dopiero około dziewiątej na drugi dzień wyszedł z domu. Udał się prosto do pana Politatowskiego. Przyjęty był uprzejmie, ale traktowany tak, jakby pan Anzelm miał go już w kieszeni. Oczewista, że pan Politatowski domyślał się: poco przychodzi Szeremet, a jako człowiek praktyczny nie omieszkał korzystać ze sposobności. Wywiązała się dłuższa rozmowa, a gdy przyszło do umowy, wygadał się pan Politatowski, że potrzebuje zdolnego człowieka.

— Jakie mogę mieć wynagrodzenie? — zapytał Szeremet.

— Piętnaście guldenów na miesiąc.

— Niech pan rozważy, że chcesz, abym prawie dzień cały za tak małe wynagrodzenie pracował.

— To tylko z początku, dopóki pan nie powyrabia rejestrów. A nie mało daję. Jako człowiek praktyczny, wiem, co to dostać pracę wtedy, kiedy właśnie potrzebuje się pracy.

— Nie sądzę przecie, że chciałbyś pan korzystać z mojego nieszczęśliwego położenia.

— Co to gadać — ozwał się pan Politatowski. — Czy to ja temu winien, że pan musisz szukać takiej roboty, która panu mało przyniesie? Co to gadać! Albo pan nie korzysta nic, kiedy pan dostaje robotę zaraz, zamiast za miesiąc? A co pan na to powie, kiedy ja więcej nie zapłacę i dostanę kogo do tej roboty.

Szeremet chciał już bez odpowiedzenia na powyższe argumenta odchodzić, kiedy zatrzymał go człowiek praktyczny i odezwał się grzeczniej:

— Albo wie pan? Ja panu dam dwadzieścia guldenów, ale niech mi pan jeszcze inwentarz fabryczny spisze. Wieczorami może pan to za kilka tygodni skończy, a dwadzieścia guldenów już zostaje i na później, choć inwentarz skończony będzie. Czy dobrze tak?

— Jeżeli lepiej być nie może — wyrzekł zcicha Szeremet; ale praktyczny słuch pana Politatowskiego raziło to widocznie, bo odezwał się powtórnie z lekceważeniem:

— Lepiej być nie może niepraktycznym ludziom, jak pan, dajmy na to.

— I gorzej być nie może ludziom, którzy jak ja czternaście lat, dajmy na to — musieli pracować, aby sobie zdobyć takie dobro, jakie mi pan ofiaruje.

— A to pan nie przystaje?

— Przystaję — odparł Szeremet.

— A to pan dobrze robi.

— Zapewne, dla pana bardzo dobrze.

— To dobrze. Tylko niech pan tak ostro nie mówi, bo ja jestem człowiek praktyczny; dla tego też lubię spokój, bo jako człowiek praktyczny i obywatel miejski mam przytem obowiązki, o których myśleć muszę. To panie nie żarty o całym kraju myśleć.

— Ba! — ozwał się z uśmiechem Szeremet, chociaż nie w głowie mu był śmiech w tej chwili. Pan Politatowski nie zrażony niezrozumiałem dlań »ba,« mówił dalej:

— A czy to pan myśli, rzecz mała, o wszystkiem myśleć? Bo to nie ma się spuścić na kogo, człowiek musi być wszędzie sam.

— To nie żarty — wyrzekł Szeremet niby mocno zainteresowany tak trudnem zadaniem pana Politatowskiego.

— Zdaje się, że nie żarty, to ja panu ręczę za to. Ale co to o tem mówić ludziom niepraktycznym, sądzisz pan, że uwierzą?

— A jednak to łatwe do pojęcia i wierzyć trzeba, co?

— Niech no pan pobędzie w tym zawodzie praktycznym, to się przekonasz. Ale wracając do rzeczy: dwadzieścia guldenów dam panu pod warunkiem, że robić pan będziesz sumiennie.

Szeremet spojrzał zdziwiony na przemysłowca nowej szkoły.

— Czy to pan nie rozumiesz, co znaczy sumiennie? — odezwał się pan Politatowski. U ludzi praktycznych znaczy to, że pracować będziesz tyle, ile ci tylko sił starczy.

Szeremet uśmiechnął się mimowolnie i wyrzekł zcicha co mu uwaga powyższa na myśl nasunęła:

— To coś jakby w katechizmie.

— Co pan powiadasz?

— Widzę, że nie ma ratunku dla mnie; przyjąć muszę i tak ciężki obowiązek.

— O! proszę pana! Ja kiedym był w pańskich latach, pracowałem nie piórem, ale młotem, rydlem lub siekierą od świtu do późna. Ale praktyczność panie, widzisz pan do czego mię doprowadziła? Tylko co to wam panom dzisiejszym o tem gadać.

— W istocie — pomyślał Szeremet — nie ma o czem gadać — i chciał już odchodzić zgodziwszy się z biedy na wszystko. Pan Politatowski chciał, ażeby Szeremet tegoż dnia od południa wstąpił w obowiązek, kładąc to za warunek przyjęcia.

— Bo — mówił — na to miejsce czeka dziesięciu na zawołanie. Głodnych dziesięciu. A pan wie, że kto głodny, ten chce pracować, jeżeli chce żyć uczciwie i uczciwie zarabiać na życie.

— Dobrze panie, dobrze! — zawołał Szeremet ugodzony do żywego. — Przyjdę od południa! — I wyszedł szybko na ulicę.

— To ludzie praktyczni, partykularni przemysłowcy dziewiętnastego wieku! — zawołał w duszy Szeremet. Kreatury sobkostwa, kreatury bezczelności. To ludzie biorący zuchwalstwo i grubiaństwo za śmiałość wypowiedzenia prawdy. A prawdy! gdzie w nich szukać prawdy, kiedy to papugi wielkiego bazaru. Trochę kupca, trochę przemysłowca, trochę brudnego skąpstwa, i ot, człowiekiem praktycznym co się nazywa. O! sprzedałem dnie moje za dwadzieścia guldenów. Może to nie na długo, ale zawsze niewola jest negacją człowieka. Ubiegając niewolę, trzeba sobie powiedzieć, że ja chcę nie muszę, trzeba sobie samemu pokłamać trochę. Jeden j a podniesie dumnie czoło i powie, że pracuje z chęcią w danych okolicznościach, a w duchu wyzna, że pracuje, bo musi w takich danych pracować, bo jest słowem niewolnikiem ludzi, co mają najlepsze chęci tylko dla własnego j a.

Nieukołysany ale udręczony myślami podobnemi dochodził Szeremet do domu, gdy opodal spostrzegł Melanję. Zbliżyła się spiesznie pierwsza do niego i odkryła zamiar oddania się zawodowi dramatycznemu. Nie zadziwiło to Szeremeta, bo Melanja wyznała i o zerwanym stosunku z Racimorowskim. Szeremet wahał się długo z odpowiedzią, nakoniec zapytał wprost:

— Czy pani żyć nie możesz bez niego?

Melanja nie odpowiadała. Szeremet innemi słowy powtórzył to samo pytanie:

— Żyć? Zdaje mi się, że nie potrafię żyć w nędzy.

— I tylko dla tego? I dla tego tylko chcesz pani obierać zawód, który wymaga poświęcenia, bo inaczej frymarczy się tylko zdolnościami jakiemi nas obdarzyła natura. Wie pani? Ja powracam teraz z miejsca, gdzie zaprzedałem swobodę moją za pieniądze, ale praca moja nie wymaga takiego oddania się — a jednak gorżko mi. Uważaj pani więc, abyś nie dała połowy swej duszy tam, gdzie trzeba całej duszy, bo gorycz twoja będzie większa.

— O! nie, nie! Oddać się chcę całą duszą — wyrzekła Melanja z zapałem.

— Ha! jeżeli to szczere — odparł Szeremet — a idzie o moją radę, to w Imię Boże, niech pani szczęścia i sławy szuka.

XV.

W kilka dni po owem wielkiem zwątpieniu pana Boromeusza, nadarzyło się mu przypadkiem przepisywanie. Zarobił za trzy dni cztery guldeny, kwotę niegdyś dlań mało znaczącą, wobec zaś dzisiejszej nędzy, nie małą sumę pieniędzy. Zarobił i poprowadził całą rodzinę do teatru. Nikt w całej rodzinie nie sprzeciwiał się projektowi. Choć było głodno i chłodno przez tydzień, zapomniano o przeszłości a mniej jeszcze pamiętano tego wieczora o przyszłości.

— Idźmy do teatru! — zaproponował pan Boromeusz.

— Ach! chodźmy, chodźmy! — zawołały panny, a matka naturalnie przystała także w milczeniu.

Nie wiele było ciepłego odzienia, ale powiedziano sobie:

— Otulimy się jakoś, byle przejść przez miasto, w teatrze przecie ciepło — i poszli.

Rodzinę tę możnaby posądzić o lekkomyślność, ale — sąd należy do Boga nie autora.

Wieczór był mroźny, z teatru powracali około jedenastej wieczór. Stasia mówiła w drodze, że nie czuje zimna, ale chwilami przejmuje ją dreszcz jak w febrze. Przybywszy do domu skarżyła się, że ją głowa boli. Na drugi dzień ból głowy był dokuczliwszy a około południa musiała Stasia położyć się, tak była osłabioną.

W gorączce pytała po kilka razy o Szeremeta, lecz on we dnie nie przychodził teraz.

Pan Boromeusz przerażony słabością córki, pobiegł po lekarza. Przybyły wypytywał o wszystko. Pan Boromeusz radby był ukrył właściwy powód słabości, ale Melanja wygadała się: że to będzie zdaje się z przeziębienia.

— Czy wychodziła pani daleko, czy tylko do sieni? —

— O! dosyć daleko jak od nas — ozwała się Urszulka — byliśmy w teatrze.

Lekarz ogiądnął się po nędznej izdebce i wyrzekł półgłosem:

— Że też tak biednym ludziom chce się jeszcze do teatru chodzić.

— Jak pan konsylarz sądzi? — zapytał pan Boromeusz niedosłyszawszy.

— Nic, nic, proszę o pióro, papier i atrament.

Pan Boromeusz podał; lekarz przypisał lekarstwo i wyszedł po chwili.

I od tej chwili przybyło wydatków, a zamiast dochodów była zaledwie słaba nadzieja dochodów. Pan Boromeusz czuł, że wszystko opierało się na nim — a on niestety! nie miał oparcia nigdzie. I widział, jak cały ciężar utrzymania domu i potrzeb chorej, dźwigała żona i córki. To była jednak pomoc tak skromna, że rospacz targała mu serce, kiedy patrzał, jak nadludzka nawet ich staranność nie przynosiła i najpotrzebniejszej pomocy. Biegał do Szeremeta, ale Szeremet wyjechał był na tydzień za interesami pana Politatowskiego, a pan Politatowski tyle tylko powiedzieć umiał:

— Już to ja przewidziałem na co zejdziesz. Ja jestem człowiek praktyczny i powiadam zawsze, że człowiek powinien pracować nim zachoruje. Słabość to prawda nieszczęście, ale przecież tyle doktorów we Lwowie.

Taką dał odprawę i taką sądził, że wlewa pociechę w serce stroskanego ojca. A pan Boromeusz pamiętał jedynie, kiedy wrócić ma Szeremet, i liczył dnie, jak długie lata; a zgryzota trawiła go wewnętrzna i wydzierała resztę sił i włosów białych. Wyrzucał sobie, że to przez niego prawdopodobnie zachorowała Stasia, że on może być przyczyną jej śmierci. I chwilami myśli takie elektryzowały, budziły w nim nowe życie i nowe zamiary. Od owej bezowocnej wędrówki po przyjaciołach i po mieście po prostu za służbą, zaniedbał starań, teraz podwoił je na nowo, choć znowuż bez skutku. A w duszy powtarzał, że go nieszczęście poniżyło wobec własnej jego rodziny; że jeszcze chwila, to już największe szczęście nie zdoła mu wynagrodzić tej krzywdy.

Nakoniec po długiem chodzeniu dnia jednego zabłysło mu niby szczęście. Przeczytał w oknie przybitą kartkę: ›Potrzebny w tej kamienicy zawiadowca i administrator dochodów domu.‹ Wszedł do kamienicy, rozpytał się. Odesłano go do właściciela mieszkającego na przedmieściu. Zebrał ostatek sił i pobiegł prawie. (D. n.)

Ostatnie sceny

pierwszego aktu historycznego dramatu:

HIERONIM RADZIEJOWSKI

Bronisława Komorowskiego.

(*Wielka sala w pałacu Radziejowskich w Warszawie*).

. . . .

RADZIEJOWSKI.

Więc się zmierzymy, i przyjdzie zasłynąć
Po wszystkie wieki nieszczęśliwej chwały
Walką tą!

RADZIEJOWSKA.

Jezu!...

RADZIEJOWSKI.

To Waćpanią trwoży?
Czy byś nie chciała cofnąć się z gry jeszcze?...
Zapóźno! — nawet byłoby z tem gorzej
I mnie. Dziś hańbę ja moją obwieszczę
Całemu światu — koniecznie! Gotowe
Czekają dłonie — patrz! tłum zbrojny czeka
Hasła rospaczy mojej... Moją głowę
Nie łatwo będzie dostać dla człowieka
Jak Słuszka, choćby w spółce z waszym bratem
Był król Jegomość, który, jak należy,
Całym swym ujmie się was majestatem!

RADZIEJOWSKA.

O, nadto! nadto!

RADZIEJOWSKI.

Cóż ów podkanclerzy
Pocznie, niebożę. wobec tej powagi?
Co? może zamknie się jak dzięcioł w dziuple?...
Dla Słuszki, króla, świata — jest miecz nagi!
Co do Waćpani, to ja już uszczuplę
Twą pychę i nie dopuszczę sprzedaży
Czci mego domu!

RADZIEJOWSKA.

Szatan!
(*Rzuca mu w twarz aktem rozwodu*).
Masz. — W tej cenie
Zrobiłam sprzedaż... (*Odchodzi*).

RADZIEJOWSKI (*sam*).

To unieść na twarzy!...
Biedna twarz — jakie ją trawią płomienie!
Zhańbiony człowiek, nieszczęśliwy człowiek...
A jak się jeszcze wzmoże to nieszczęście?...
Jakaś łza spiekła ucieka z pod powiek...
Ej, podkanclerzy! zaciśnij ty pięście
Lepiej!... Ej, lwie ty, na całą krainę

Sławny z potęgi i wpływu, lwie stary,
Wstrząśnij-no grzywą w tę straszną godziną
Swojego losu! Twarzy swojej żary
Ostudź-no żywo! — I gdzież są złodzieje
Co ci majestat żywota zabrali? —
Ej, toż-to będą obrzydliwe dzieje,
A czy ludzkiego w nich się co ocali,
Wątpię! — (*Słychać surmę alarmową*).
Ten rozgłos dziwnie mię pokrzepia!...
Hej! Co tam? — Może to moja wybija
Godzina? (*Wchodzi Drabant*).

DRABANT.

Jakiś zbrojny tłum się czepia
Bram pałacowych!

RADZIEJOWSKI.

Ha! więc jest już żmija.
To dobrze. Weźmiem się teraz na zęby. —
Do bram! Zatoczyć na dziedziniec działa!
Osadzić okna i wszystkie wyręby
Strzelbą! — Śpiesz! —

DRABANT.

Duchem! (*Odchodzi*).

RADZIEJOWSKI.

Gdzież jest służba cała?
Gdzie dwór? — Hej! hola!...

(*Otwiera się przesłonięta kotarą głąb sceny i widać przedsionek kolumnowy. Tłum dworzan i zbrojnych krząta się w popłochu*).

RADZIEJOWSKI (*wstępuje między tłum*).

To moje zastępy! —
Więc zmierzyłbym się teraz i z szatanem!...
Cóż Waćpanowie? już zlatują sępy
Na dom mój! — Jakim dla was byłem panem
Wiecie — boć bratem byłem wam; czyż chcecie
Być ze mną dzisiaj, kiedy wyrok boski
Najobrzydliwszą z wszystkich hańb na świecie
Dopuszcza na mnie?

WSZYSCY (*dobywają szabel*).

Wiwat Radziejowski!

RADZIEJOWSKI.

Ten głos Waćpanów pociesza mię mocno —
Więc ufam, że mię Ichmość nie opuszczą
W mej hańbie. Oto dziś, godziną nocną,
W swym domu mam być ściśnion zbrojną tłuszczą —
Chcecież od krzywdy bronić swego pana?

GŁOSY.

Do grobu!

RADZIEJOWSKI.

Dzięki Waćpanom stokrotne
Za waszą przyjaźń. — Jaka moja rana,
I jakie wrogów mych czyny sromotne,
Zamilczę — ile, że dla tylu świadków
Mej hańby jużbym oblicza nie starczył...
Sami to z dalszych poznacie wypadków,
Niech ja zamilczę — abym nie obarczył
Zanadto serca, boć i tak to życie
Wlokę ostatki!... Lecz będzie inaczej!
Dopytam ja się już swojego sromu
W sposób okropny!... Bóg mi to przebaczy,
Bowiem to była hańba mego domu
I mego łoża... Och! ileż brzydoty!
(*Wchodzi Drabant.*)

DRABANT.

Już osaczeni jesteśmy, a zwiadom
Rzucono jakieś pisanie przez płoty;
Tu jest.

RADZIEJOWSKI (*przebiega okiem pismo*).

Hohoho! nie pora układom!
Mało tu czego odemnie wymaga
Pan Słuszka! Pałac mu oddać wraz z żoną?
Tfy! (*Depce pismo*).
Niech rozstrzyga Bóg i szabla naga! —
W odpowiedź niech im w twarz pluną pod broną
Z dział. W wszystkie kotły uderzyć i surmy!
Gdyby do okien zabrała się horda:
Ciąć, razić strzelbą — niech czują swe szturmy! —
Precz! (*Drabant odchodzi*).
Kto żyw teraz, bierz-że się do korda!

WSZYSCY.

Choćby z siarczystym djabłem!

RADZIEJOWSKI.

O, ten nawet.
Podlejszy stokroć od samego czarta!
Więc odpowiedni trzaby mu wet za wet...
Krwi dużo! tylko dużo krwi! — Niech karta
Mojego życia będzie zamazana
Krwią! (*Słychać wystrzał działowy*).
Hu! ten dobry był — ten dobry! Dalej
Do bramy!... (*Drugi wystrzał*).
Dobry! dobry! Żywo w taniec!...

GŁOSY.

Do bram!

(*Odchodzą prócz Radziejowskiego i Jasińskiego, dworzanina*).

RADZIEJOWSKI (*do Jasińskiego*).

Waść bracie, pozostań tu w sali,
I strzeż tych komnat...
(*Pokazuje drzwi, któremi wyszła Radziejowska*).
Rozumiesz? To szaniec
Mi najważniejszy!... (*Wystrzał i okrzyki za sceną*).
Teraz chyba wodze
Puścić wściekłości! (*Dobywa miecza i całuje*).
Mój Bóg — ten ostatni! (*Wybiega*).

JASIŃSKI (*sam*).

Sam więc zostałem tutaj na załodze —
Niewiasto! patrzaj do jakiej ty matni
Wpędzasz człowieka!... To wojna domowa,
Nieszczęście. Znam ja ambicję szaloną
Podkanclerzego! — niech tam Bóg uchowa,
Lecz na dzisiejszem nie skończy się pono...
Walka przycicha coś... a tylko w wietrze
Podkanclerzego słyszę głos...

(*Wchodzi Radziejowski z złamanym orężem*).

RADZIEJOWSKI.

Przepadło! —

Niechże mię teraz jaki piorun zetrze
W proch ..

DRABANT (*wbiegając*).

Wróg w dziedzińcu!

JASIŃSKI (*do Radziejowskiego*).

Jaką twarz wybladłą
Macie!

RADZIEJOWSKI.

Tu — przeszyj! nie mam na to mocy!

(*Tłum dworzan zbrojnych przebiega scenę w popłochu*).

DRABANT (*wchodząc*).

Król! (*Słychać trąbę*).

RADZIEJOWSKI.

Ha! i ten tu?

GŁOSY (*przebiegających trwożliwie dworzan*).

Król! król! król!

RADZIEJOWSKI.

Usłyszy!

(D. n.)

Recenzje.

Zarys dziejów literatury polskiej,

na podstawie badań najnowszych pracowników, dla użytku szkolnego, nakreślił Adam Kuliczkowski. *Część I. (do początków wieku XIX.) Lwów. Nakład Karola Wilda 8vo. str. 208.*

Stało się, jak gdyby zwyczajem u nas: narzekanie na niedostatki książek, traktujących o historji literatury polskiej. Ogólnik: „złe" wystarcza wielu ludziom, a niektórych ośmiela do pisania książki nowej, której autor nie daje rękojmi, że będzie lepszą od dotychczasowych.

Nie daje rękojmi, po powtarzając narzekania na niedokładność opracowań historji literatury, nie wskazuje: jakie są te niedokładności, i zaradzić im nie stara się.

Ostatnie czasy dały nam aż czterech autorów historji literatury, z których niemal każden miał sobie za obowiązek zganić książki poprzedników, i dać nam swoją; a bardzo wątpię, czy któren z nich wiedział: co dać powinien?

Wymienić autorów i dzieła porządkiem lat — to się zowie napisać historję literatury; zapożyczyć się w jakie takie zapatrywanie na przebieg dziejowy, powtórzyć to co mówili inni, rzucić kilka frazesów... to dość, by rościć prawo do miana uczonego. Trudność niejaka upatruje się tylko w podziale literatury a gdy autorowi udało się ją zwalczyć jako tako, a jeszcze zdobyć się na podział o r y g i n a l n y — już tryumf jego nie zna miary! A krytyka, mimo wszystko, ma obowiązek rozwiać błogą ułudę autora...

Gdybyśmy mieli między sobą ludzi genjalnych — niewątpliwie mielibyśmy historję naszej literatury, jak już mamy poniekąd historję naszego bytu... Gdy jednak albo ich nie ma, albo poświęcają się pracy na innem polu, zadowolić się musimy żądaniem skromniejszem; oto, by pracownicy dali nam: albo dokładny spis rzeczy bez silenia się na krytykę; albo rzecz chociaż niedokładną, pracę nie wypełniającą wszystkich działów; ale w której można by było dostrzedz: myśli przewodnej, planu rozumnego; byśmy mieli chociaż tę pociechę, że autor przynajmniej wiedział: co robić należy? jeśli mu się nie udało pracy należycie dokonać. A i z tem spotkać się trudno.

Oto naprzykład mamy przed sobą nową książkę, noszącą tytuł zarysu dziejów literatury polskiej, p. Kuliczkowskiego — tak nową, że zaledwie część jej, bo do Ignacego Krasickiego została ogłoszoną drukiem, i pośpiesznie oddana do księgarń, zaradzając „d o t k l i w e m u b r a k o w i k s i ą ż k i e l e m e n t a r n e j" w przedmiocie literatury polskiej... A chociaż jest tak bardzo nową, nie wiele o niej powiedzieć możemy.

Autor chciał nam dać książkę szkolną. Książka szkolna i u nas, podobno z góry ma sobie przypisane: w jakim kształcie, w jakiem przyodziewku nawet ma się stawić przed obliczem władzy szkolnej, by zyskać jej aprobatę?... Jeżeli więc tę okoliczność miał p. K. na względzie, to mu wiele rzeczy przebaczyć wypadnie, jako człowiekowi, któren tak się krępował względami uszanowania i ślepego posłuszeństwa dla władzy, że niepodobna mu było rozwinąć samodzielnego lotu, wyjść z zakresu przypisanych formułek... Ale w takim razie krytyka pobłażając, musi zarazem lekceważyć jego pracę, jako obraną z wielu przymiotów.

Dzieje narodu i jego literatura tak są ściśle powiązane z sobą, że razem wzięte są nierozłączną całością; literatura odwzorowuje życie, życie odbija się w literaturze. Coż więc powiedzieć o autorze literatury i literatury polskiej, któren np. poezję ludową pomija milczeniem, jak gdyby ona nie stanowiła największego naszego skarbu, jakby nie była duszą naszego ludu, jakby wreszcie nie wykarmiła sobą całej plejady znakomitych naszych wieszczów?... Co powiedzieć o autorze, któren reformację nazywa zgubą Zachodu... ani słówkiem nie wspomina o wpływie ruszczyzny, w skutek unji Polski z Litwą?... któren nie wyjaśnia: z jakich powodów literatura kwitnąca pod Jagiellonami, upada później, ginie, aż za naszych czasów odradza się znowu?... Co odpowiedzieć? — Jedno tylko: Skromny zakres pojęć autora, nie kusząc się o nowość poglądu, kazał mu zadowolić się powtarzaniem pacierza za panią matką... A nam książki odgrzewanej nie było potrzeba! i pracę też p. K. pominęlibyśmy milczeniem, gdyby nam nie chodziło o zaznaczenie całego jakby kierunku, fałszywego zapatrywania się naszych autorów na rzecz samą, nierozumienia: czego chcieć, co nam dać mają?...

Potrzebujemy obrazu literatury; ale nie tła zamalowanego natłokiem rozmaitych figur; tylko — kompozycji. Bodaj węglem niechaj nam mistrz rys poda — to starczy za mozolne usiłowania pracowników.

Nasza literatura, jak puszcza; nikt w niej drogi nie zna. Jeden tylko śmiały Majorkiewicz z toporem krytyki w ręku trzebić ją zaczął; wyciął parę linij, które pozwalają spojrzeć w głąb' puszczy... i śmierć zgasiła to światło, które nam wskazać wiele rzeczy miało. Takich ludzi, usiłowań tego rodzaju nam potrzeba; ale nie prac kompilacyjnych, które częściej są kulą u nóg nauki, aniżeli skrzydłem u jej ramion.

P. Kuliczkowski napisał książkę szkolną, dla uczniów... Coż w niej znaczy powiedzenie, że do literatury należą tylko takie płody, które „tak zewnętrznemi, jak wewnętrznemi zaletami wyszczególniają się z pomiędzy całego zasobu dzieł i pism, i które noszą na sobie piętno panującej każdocześnie idei."

Jakie to są zewnętrzne zalety dzieła, dające mu prawo, obok wewnętrznych, wejścia do literatury? Papier czy piękne trzcionki?... Idea zaś, jest konikiem na którym jeździ p. Kuliczkowski; popisuje się nim niemal na każdej karcie, a zawsze w taki sposób, jakby chciał dowieść, że nie ma dokładnego wyobrażenia: co to jest idea?

Podług idei dzieli on nawet literaturę na trzy epoki: 1) scholastyczną od roku 965—1500; 2) klasyczną 1500—1820; 3) narodową 1820 do naszych czasów.

Nie wiem czy po „głębokich badaniach" wynalazł te epoki p. Małecki, czy po mniej głębszych autor „Zarysu"; ale najzupełniej z podziałem tym nie godzę się.

Scholastycyzm, czy idea scholastyczna panowała w Polsce? mógłbym mówić, gdyby mi chodziło tylko o mówienie; lecz że nad idee mrzonkowe przenoszę życie samo — po za scholastycyzmem więc widzę zdrową, jędrną myśl narodu, żywe jego słowo, które acz nie zaniesione do ksiąg, żyje w pełni sił, zdobi się pięknem, i ani wie o scholastycyzmie!

Na łąki kobiercu stojąc, dostrzegasz autorze w oddali parę zasuszonych kwiatów — smucisz się i nas chcesz usposobić do smutku, że wszystko zwiędłe... Pofolguj żalom! raczej rzuć okiem koło siebie, i obacz: co się tam dzieje? a zapomnisz o twej idei!...

Epoka klasyczna — trzy wieki z okładem! Czołem autorze! udarowałeś nas hojnie, bo klasycyzmem, nawet w czasie, gdyśmy pisywali „Ścierki do utarcia gęby zakamieniałemu grzesznikowi". „Podpłomyki matki fary na poły z popiołem, jej łzami rozczynione" i t. p. arcydzieła klasyczne, które my w prostocie ducha ceniliśmy zbyt mało.

Epoka narodowa. Więc dawniejsze nie były narodowemi? Kochanowscy, Szarzyńscy, Klonowicze, Skargi, Birkowscy i t. d. nie byli pisarzami narodowymi? — Gdzież podstawa do tytułu! Dlaczego np. Rzewuski, lub Sztyrmer ma być więcej narodowym pisarzem od pierwszego lepszego, dajmy na to, kaznodziei w czasie od Władysława IV. do Sasów? Literatura współczesna dla czego jest bardziej narodową, aniżeli dawniejsza, która zawsze jest wymownym rzecznikiem ducha narodu? — Jeżeli p. Małecki w rzeczy samej dzieli literaturę na takie epoki, to mniemamy: potrafi podział ten usprawiedliwić; w p. Kuliczkowskim zaś, krom kilkunastu frazesów o fatalnej owej idei, nie spotykamy żadnych dowodów, któreby rozumnie poparły jego troisty podział.

„Gdzie wiele przygotowań tam nic z dyalogu" — powiada stare przysłowie. Nie wiem ile lat pracował p. K. nad swą książką; ale sądząc po objętości wstępu, dzieło jego wydaje mi się nieco kusem... A w tym wstępie co rzeczy ciekawych!... O języku polskim i wpływie nań łaciny i niemczyzny. (Ruszczyzna nie wpłynęła nań zdaniem p. K.); o chrześcjaństwie, runach i rękopisie królodworskim, słowie o półku Igora... o wszystkiem! nawet o istnieniu Dira, zakwestjonowanem przez historyków!

Ale nie ma wcale rzeczy tak nie ciekawej, jak pierwsza lepsza piosnka gminna, którą dla tego autor odrzuca, że się przed nim wylegitymować nie mogła: jest li przerobioną, czy też zachowała w sobie charakter poezji pierwotnej? Biedna piosnka! — Ostatecznie jednak przedmowa obejmuje 27 str., gdy idea scholastyczna nie spełna 16?!

Jak widzimy na kilkunastu stronicach zamknął autor dzieje, język, literaturę, swojskość, wpływy obce i t. d. do roku 1500.— Ito się zowie zapełniać dotkliwy brak książki elementarnej... to: wystawiać sobie pomnik w sercach młodzieży... Gdy już autor nie żałował rzeczy, to mieć wzgląd należało przynajmniej na biedną ideę, i nie zbywać jej tak lekko.

Lecz prawda! o czem tu było mówić? Z poezją ludową odpadło tyle ciężaru dla autora; a praca nad pomnikami literatury Czech i Rusi była tak wyczerpującą, że... pominięto drobną rzecz w pieśni Bogarodzicy, iż nie jest pisaną w języku czysto polskim... O Nestorze, Kosmasie pragskim, o Dietmarze nie było co pisać; o Grzegorzu z Sanoka, Janie z Głogowa, tylko skromne wzmianki; a o Ciołku Stanisławie nawet wzmianki nie ma. Bo i cóż w tem ważnego, że za Jagiełły Władysława mógł ktoś pisać, czy pisał polskie wiersze?!...

Parkosz może by więcej znalazł względów, gdyby wbrew pewnej znakomitości nie był się ujął za skazaną dziś na banicję jotą. O, ta jota! wiele ona złego narobiła w naszej literaturze!... I śmie panować we wszystkich językach słowiańskich. gdy tu pomiędzy sobą mamy gromiącego Jowisza!...

Epokę, w której panuje jedna z trzech idei, poprzedza autor „rzutem oka na dzieje krajowe w tej epoce" — w jakim celu? nie wiadomo. Literatura nie ma uczyć historji, bo kto tej nie zna, ten i z literatury nie wiele skorzysta. Literatura nie może ominąć historji; ale nie poprzedzona nią, tylko winna być na jej tle pisaną; ma wiązać się z historją w całość; a do tego nie potrzeba rzutu oka na historję. Właściwiej już było w książce zrobić odsyłacz do historji Lelewela lub innego historyka.

Biografje autorów zajmują także niepośednie miejsce w książce pana K. Należało by raz już zastanowić się nad tem: czy biografje w ogóle potrzebne są w kursie do literatury? Sądzę, że nie! bo w obrazie literatury mam mieć autora jakim już jest; a tą, czy inną drogą doszedł do stanowiska? rzecz wcale obojętna dla historji literatury. Jeśli już autor nie mógł oprzeć się chętce pochwalenia się z biograficznemi wiadomościami, to je powinien był drukować pismem odmiennem, by uczeń wiedział, że wiadomość o tem: czy ten, lub ów pisarz był proboszczem, kanonikiem, rajcą, miał czy nie miał żonę i dzieci? nie jest dlań konieczną.

W całem dziele p. K. widoczna jest pewna niewolniczość: brak śmiałości wypowiedzenia swego zdania, krępowanie się względami, sprzeczność pomiędzy myślą a wypowiadaniem się. Nowość podziału na idee widocznie krępuje go: nie wie jak sobie poradzić z tym fantem... Gdyby nam autor po razy kilkanaście nie przypomniał, anibyśmy wiedzieli o jego idei, która z książki wcale nie prześwieca!...

Układ dzieła razi swym niewymiarem. Do przedmowy, rozbierającej dość szczegółowo dwa pomniki obcej literatury, potrzeba odpowiedniego obrobienia rzeczy swojskich; a tak i przedmowa i dzieło samo znacznie urość by musiało. Wówczas nie mogło by mieć miejsce więcej aniżeli pobieżne traktowanie czasów przed- Zygmuntowskich, zbycie byle czem epoki zamykającej z górą trzy wieki, i wreszcie prawdziwie homeopatyczne przedstawienie czasów przejściowych, które zasługują na jakie takie wyczerpanie przedmiotu.

Autor o wielu rzeczach, bezwiednie czy z umysłu, przemilcza, o innych mówi, nie tak jak myśli. Znać naprzykład, że ultramontaninem nie jest; a jednak z jaką pokorą mówi o duchownych katolickich, gdy dyssydentów traktuje z góry — chociaż w literaturze religja odgrywa co najmniej rolę podrzędną. O Jezuitach tylko pochwały; a czemuż to głównie przypisać

mamy upadek oświaty w Polsce, jeśli nie naukom tych ojców? Usprawiedliwienia, wymówki — możliwe... fakt jednak zostanie faktem, że jezuici ciemnotą zalali Polskę; oni pozbawili nas najchlubniejszego przymiotu: tolerancji, której ustąpienie z narodu pociągnęło za sobą wieloliczne klęski, a wreszcie upadek. Jednostkom oddajemy cześć zasłużoną; ale o złych sprawach zakonu, o złem odwdzięczeniu się za chleb polski, także przemilczać nie należy.

O moskalach autor zapewne również ma przekonanie nie zbyt dla nich pochlebne; a jednak w książce jego ani wzmianki o największych nieprzyjaciołach naszych.

Nie chodzi o traktat polityczny; ale o zaznaczenie tego zgubnego kierunku, tego upadku moralnego i fizycznego, który sprowadzić usiłuje Moskwa już od czasów Piotra I. Gdziekolwiek mamy wolność wypowiedzenia naszego zdania — czyńmy to śmiało! bo inaczej słusznie spotkać nas może zarzut służalczości, niewolniczego schlebiania zachceniom wrogów. Literatury polskie wydane pod zaborem moskiewskim są o stokroć patrjotyczniejsze, aniżeli p. Kuliczkowskiego, któren nie ma potrzeby lękać się twierdzy i Sybiru!...

Przechodząc do szczegółów, w krótkości podam tu usterki, które mi w oko wpadły przy odczytywaniu „Zarysu dziejów literatury“ p. Kuliczkowskiego.

Oceniając R e j a, autor mówi o wielu rzeczach; ale o najważniejszej przemilcza; o tem, że w utworach tego poety przebija swojskość, że po raz pierwszy myśl polska przybrana w rodzimą szatę słowa, staje przed oczy narodu nie zapożyczając się u obcych, nie siląc się na naśladownictwo. A czemuż przypiszemy wziętość, jaką miały utwory Reja? czemu ogólne w nich smakowanie, jeśli nie temu przymiotowi, że były na wskróś swojskie, jakby wyjęte z duszy tej części narodu, która się narodem zwała?

Przedtem jeszcze, bodaj kilkoma słowy, należało wytłumaczyć uczniowi: co spowodowało tak gwałtowny, nadspodziany wzrost i rozkwit literatury polskiej? Czyliż go to nie uderzy, że gdy przez wszystkie czasy niemasz nic zgoła, naraz z Rejem występuje cały szereg mistrzów, którzy stawią literaturę na szczebel najwyższej potęgi? A można-ż go zostawić w niepewności: jakim sposobem stała się rzecz tak wielkiej wagi?

S z a r z y ń s k i e m u odmawia autor nie już pierwszeństwa, ale nawet prawa do tego, by był porównywany z Kochanowskim. A jednak i „najnowsi pracownicy“ nie odmówili tego poecie.

Jak wzrostu, tak też i gwałtownego upadku literatury nie tłumaczy autor, tylko niewystarczającym ogólnikiem. W literaturze nie dość powiedzieć: jak było? trzeba jeszcze wskazać przyczynę bytu; a tego nie ma w książce p. Kuliczkowskiego.

Ocena niektórych utworów bynajmniej nie zdradza, by autor znał je „z w ł a s n e g o r o z c z y t y w a n i a“ (Co, mówiąc nawiasem: jest samochwalstwem, bo któż był w stanie wszystko przeczytać?) Że tu wspomnę tylko o „Wojnie Chocimskiej“ Potockiego.

O niektórych osobistościach, widnych tak w historji jak w literaturze, przemilczano. Naprzykład o W e r e s z c z y ń s k i m kapłanie-żołnierzu, polityku i mowcy; o P a w l e P i a s e c k i m, o obcych ważnych dla nas autorach Beauplanie, Lengnichu i innych.

O tem wszystkiem i o wielu rzeczach innych uczeń wiedzieć powinien, bo inaczej próżno by stawiał autorowi pomnik w swem sercu!...

Taka jest książka p. Kuliczkowskiego.

Nie jeden z czytelników może zapyta: obok wad czy ma dzieło zalety i gdzie są one? Odpowiem, że o nich nie wzmiankuję, bo mi tem większą sprawiają przykrość. O ile autor posiada przymiotów, o tyle więcej jest winnym, że nie zadał sobie pracy, by dzieło ustrzedz od błędów. Co po oczytaniu, po wysłowieniu się dobrem, gdy rzecz sama nie odpowiada wymaganiom? Tem większa szkoda, że się z tem spotykamy w złej książce!

Zarys dziejów literatury p. Kuliczkowskiego pozostanie tylko próbą; a niniejszych słów kilka, oby mu posłużyły zachętą do wypracowania dzieła, któremu byśmy nic zarzucić nie mogli.

...*ch*....

Rozmaitości.

* (K o n c e r t) Towarzystwa muzycznego z dnia 18. listopada, jeśli się odznaczał należytem wykonaniem, to układem swym, szczególniej w części wokalnej, zostawiał wiele do życzenia. Nie rozumiemy doprawdy: jakie znaczenie d l a n a s może mieć P i e ś ń l e ś n a, Mangolda, odśpiewana po niemiecku? Ani ta muzyka przypada nam do serca, ani się godzić możemy na tekst niemiecki, z którym raz przecie rozstać by się należało.

Chór męzki z opery Gretrego: „*Les deux avares*“ milszy dla ucha, zbytnią wartością muzykalną nie odznacza się wcale.

Część wokalną koncertu, dla wielu względów, musimy uważać za nie udałą... Instrumentalna natomiast uratowała dobrą sławę Towarzystwa. A l l e g r o z d r u g i e g o k o n c e r t u (f. moll.) Chopina, odegrane przez p. Mikulego, uwalnia nas od szczegółowego rozbioru, i wszelkie pochwały czyni zbędnemi.

U w e r t u r a C h e r u b i n i e g o prześliczna! gdyby liczniejszą mogła mieć orkiestrę, nie straciła by na tem wcale. Co do S y m f o n j i zaś D o b r z y ń s k i e g o, mniemamy, że wysokich zalet tej kompozycji nie można było dokładnie poznać z jej wykonania na koncercie, które nie we wszystkich swych częściach zadowoliło słuchaczów. Szczególniej nielitościwą była produkcja trąbonisty — prawdziwej klęski naszej orkiestry teatralnej... Lecz nie o to nam chodzi. Symfonja Dobrzyńskiego jako utwor muzykalny, jeśli i ma pewne usterki (w samej budowie), w każdym razie znać, iż jest dziełem mistrza; a że prawidła sztuki ogólne, są tu jeszcze misternie związane z tem, co porusza inne ukryte w nas struny — wypływa więc z tego połączenia pewna trudność zrozumienia utworu, i rodzi zarazem: chęć dokładnego zaznajomienia się z kompozycją; a oba te względy znaglają nas do zaniesienia prośby, sądzimy: w imieniu obecnych na koncercie, by Symfonja Dobrzyńskiego została powtórzoną na jednym z wieczorków Towarzystwa, cieszących się tak zasłużoną sympatją publiczności... A że prośba ta uzasadnia się nie na prostym kaprysie tylko, za dowód może posłużyć, że mimo pilnej uwagi, wykonanie symfonji nie dało sprawozdawcy pewności: czy takowa nie została przerwaną, bezpośrednio przed finałem?... Dowód to, że wrażenie odniesione z wykonania nie było zupełnem; że zatem przysłuża nam prawo do zadośćuczynienia; a utwor sam zasługuje, by go powtórzono.

Mamy jedną jeszcze prośbę do Towarzystwa, oto, by z programatu wieczorków i koncertów nie wykluczało deklamacji, którą jeśli muzyka nie weźmie pod swą opiekę — biedna zginąć może!...

---

* Nakładem Gubrynowicza i Schmidta wyszły: Paulina Stachurskiego „Uwagi nad tłumaczeniem latopisu Nestora“ przez Augusta Bielowskiego i Jana Wagilewicza. Cena 35 ct.

* Od dość dawna chowająca głębokie milczenie księgarnia J. Milikowskiego dała znak życia, wydając swym nakładem „Stenografię polską“ pana Polińskiego.

Cieszylibyśmy się wielce, gdyby wydanie tej książki rozpoczęło szereg nakładów, podjętych przez tak wziętą i bogatą firmę.

* Od stycznia roku przyszłego ponownie wydawany będzie w Poznaniu pod redakcją E. Kierskiego: „Przegląd Wielkopolski, historyczny i literacki.“

Treścią jego będą:

1. Poezje. 2. Dział historyczny wyłącznie tylko dziejom Wielkopolskim będzie poświęcony. 3. Powieści. 4. Sprawy Towarzystwa poznańskiego Przyjaciół Nauk. 5. Przegląd i recenzje nowych dzieł przez Polaków wydawanych, lub obcych autorów o rzeczach polskich traktujących. Przytem redakcja przyrzeka mieć na oku zdanie obcych o stanie polskiego piśmiennictwa i sprostowanie tegoż. Będzie także raz po raz udzielać sprawozdanie z piśmiennictwa różnych pism słowiańskich. 8. Korespondencja literacka. 7. Nekrologja zmarłych świeżo pisarzy i artystów polskich. 8. Wiadomości literackie, naukowe i artystyczne.

Czasopismo to, jak już poprzedni „Przegląd Wielkopolski,“ wydawane będzie co półtora miesiąca w zeszytach około 6½ arkuszowych, których w ciągu roku będzie 8.

Cena prenumeraty wynosić będzie rocznie tal. 4, a półrocznie tal 2.

* Wyszedł z druku i jest do nabycia w księgarniach „**Haliczanin**“ znany w Galicji kalendarz firmy Pillerów, na rok **1869**; którego zalecenie bardzo jest łatwem, bo zawiera w sobie „***Chochlika noworocznik humorystyczny***,“ trzeci już z rzędu, a o wiele od swych poprzedników dowcipniejszy, z wybornemi drzeworytami. Cena bardzo przystępna, bo tylko **50 centów**.

* „Sobótka“ zowie się pismo, mające być wydawanom przez M. Leitgebra w Poznaniu, — o którem już wzmiankowaliśmy.

* Wydawca madryckiego pisma *La Demokracia* został skutkiem rewolucji hiszpańskiej uwolniony od niesłychanej kary. W licznych procesach drukowych albowiem skazany był na 102 lat więzienia.

* Jednocześnie prawie zabrała światu śmierć trzech głośnych ludzi: w Paryżu umarł 14. b. m. jeden z największych kompozytorów muzycznych, Gioachino Rossini; Rotszyld, jeden z najbogatszych ludzi, i wreszcie w Warszawie Orgelbrand zasłużony wydawca „Encyklopedji Powszechnej,“ którego odezwę zamieściliśmy w przeszłym numerze „Nowin.“

* Czysty dochód z liczbowej, tak zwanej małej loterji w Austrji wynosi około 10 miljonów złr. Pieniądze stawiane na loterję dochodzą rocznie do 18 i 20 miljonów złr. Z tego przypada w dólnych Rakusach 3 złr. na głowę; w Styrji, Gorycji, Tryeście i Wybrzeżu 1 złr. 20 kr. do 2 złr.; w Salcburgu i Czechach 80 kr. do 1 złr.; w reszcie krajów austrjackich 50 do 80 kr. na głowę. Najmniejszy udział w stawianiu na loterję małą biorą Galicja, Bukowina i Dalmacja, gdzie stawki nie przechodzą 10 do 15 kr. na głowę. Nie wiele więcej jak połowa dochodów wypłaca się znowu jako wygrane.

* Domy z bawełny. Amerykańskie dzienniki piszą o bardzo ciekawym wynalazku. Wynaleziono tam sposób budowania domów z bawełny. Doświadczenia dotychczas robione powiodły się jak najlepiej. W tym celu używa się bawełna zielona najpośledniejszego gatunku, resztki bawełny zbierane w polu, lub odsetki fabryczne — słowem wszelkiego rodzaju bawełna nie zdatna do innego użytku. Z bawełny tej robią masę, która wysychając staje się twardą jak kamień, a następnie pokrywa się z wierzchu materją, chroniącą ją od wpływu wilgoci. Dla zbudowania domu z bawełny potrzeba dwa razy mniej czasu; aniżeli do zbudowania go z cegły. Dom z bawełny nie obawia się ognia, jest tak trwały jak murowany, a kosztuje trzy razy mniej aniżeli ten ostatni.

* Gioachino Rossini zmarły 14. b. m. w Passy pod Paryżem urodził się 29. lutego roku 1792 w Pesaro we Włoszech. Ojciec jego był trębaczem w kapeli miejskiej i dozorcą jatek. Matka Anna Guidarini, była córką piekarza. Gioachino ich był jedynakiem. Gdy go zrazu ojciec ćwiczyć kazał w muzyce, pakazywał wstręt wielki; dopiero gdy za karę i nieuctwo oddali go rodzice do kowala, sam prosił ojca, żeby go oddał do liceum w Bononji, gdzie pod okiem zawołanego O. Mattei zaczął się ćwiczyć w nauce kompozycji. Talent jego zwolna i z oporem się rozwijał. Roku 1810 wystąpił z pierwszą próbą opery w Wenecji; przyjęto go mile i zachęcająco. W ośmnastym roku życia z „Tankredem“ wystąpił już jako niezawodny artysta. Sztuka ta zrobiła rewolucję w kompozycji. Sztywna *Opera seria* musiała się za przewodnictwem Rossiniego odświeżyć i uswobodnić żywszemi żywiołami, któremi się mistrz napoił z *Opera buffa*, a które tak w sam raz zastosować potrafił do potrzeb jej poważniejszej siostry. „Tankred“ zdobył Rossiniemu sceny Wenecji, Medyolanu i Neapolu. Roku 1814 wystąpił Rossini z arcydziełem komicznem „Cyrulik Sewilski,“ na którego *libretto* była już muzyka *Paesiella.* W dwa tygodnie Rossini musiał napisać swoją, bo pisał na zamówienie. Na pierwszem przedstawieniu roku 1816 w Rzymie wygwizdano Rossiniego, a nazajutrz już obsypano kwiatami; potęga melodji jego była porywająca. Do roku 1823 pisał Rossini dla opery w Neapolu. Na czas ten przypadają „Ottelo,“ „Armida,“ „Mozes“ i t. d. Kiedy dyrektor opery neapolitańskiej Barbeja, zrujnowany przez zniesienie rulety, którą zapełniał niedobór opery, przeniósł się do Wiednia, Rossini z żoną poszedł z nim. Muzyka Rossiniego oczarowała wiedeńczyków. Filozof Hegel obecny właśnie w Wiedniu pisał do żony do Berlina, że: „póki mu pieniędzy starczy na włoską operę, nie opuści Wiednia.“ Dziwna rzecz, że im więcej publiczność w Niemczech się zapalała dla muzyki Rossiniego, tem groźniej występowała poważna krytyka przeciwko „płytkiemu i nieukształtconemu talentowi“ włoskiego mistrza. Z Wiednia wrócił Rossini do Wenecji, ale obojętne przyjęcie jego „Semiramis“ przyspieszyło przejście jego do Paryża, gdzie jednakże wiele lat żył z dawnej sławy, zanim jej roku 1819 dodał nowego blasku przez „Tella,“ na którym też skończył. W nim to muzykalna intuicja jego i bogactwo doszły ostatniego kresu pełni. „Tell“ też jedyny oprócz „Cyrulika sywilskiego“ pozostanie na zawsze na repertoarze opery. Reszta dzieł jego zwolna schodząc ze sceny, przebrzmiały. Bellini, Donizetti, Verdi, mniej bogate i oryginalne talenta, dłużej się ostoją, bo byli mistrzami mowy serca; mnzyce Rossiniego brak serca, choć ma dowcip i błyszczy genjalnością. Po roku 1819 już tylko „Stabat Mater“ (roku 1841) zasługuje na wiekopomne wspomnienie.

Roku 1866 posłał kilka mniejszych kompozycyj na koncert dawany w Wiedniu na pomnik Mozarta, którego czcił zawsze synowską czułością.

W Paryżu był rówiennikiem *Meyerbeera* i *Aubera.* Śmierć pierwszego zrobiła na nim głębokie wrażenie, bo był nadzwyczaj przywiązany do życia i nie rad był kiedy w jego przytomności kto wspomniał o rychłej śmierci Chopina, Belliniego i Donizettego. Z triumwiratu paryskich władców muzyki pozostał teraz jeden Auber, staruszek 86 letni, ale niezmordowanie dotąd pracujący, podczas gdy Rossini od 40 lat już prawie dla sztuki nie żył.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.